

MIESIĘCZNIK LITERACKI

LUTY - MARZEC

1943

Czy wierzył w sens życia? Było ono dla niego udręką niewywnowalną. Demon i diabeł byli dla niego jaskrawo rzeczywistymi! Czy Bóg istniał jemu? Do końca życia wzbraniał się chyba uznać Jogo władanie nad sobą. Tylko do trochę nieszukała w nim gołębia, zawsze obecna, nieodparta! Była ona niemniej jego geniuszem, jak wielka, piękna namiętność jego ducha i jego uparty, granitowy rozum.

Najcharakterystyczniejszym jego gestem był grymas! Wstrząsał on co chwila jego prawie że posagową, wilozą, penurą powagą, towarzyszył jak samorodny błazen właściwej mu dostojności, macił jakby kąpielieniem do wody wrzuconym nurt wielkich fal o szeroki oddech, którym płynęło jego życie duchowe, opryskiwał zimną wodą wciąż w niego wzbierające ciepłe przypływy dobroci. Wykrzykiwał się, marszczył, rozdziewiał, chichotał, ryczał, zaprzeczał, ściągał z piedestału, ośmiewał, wyzywał, zrywał pozłotę, drwił, bluźnił, wyciągał podszewkę, ćwiartował. Wciąż szukał lepszego, nie dowierzał żadnemu słowu, póki go jak jabłko na krzyż nie przekroił. Posiadał najwspanialszą, aż opaczność namiętność prawdy. Ściagał ją prawie że z natręctwem, nie darował nigdy! Był niezdolny uczynić krzywdy nawet muszce, a pragnął nade wszystko dobra, w które wierzył, nie tak silnie jak w zło.

Takiż grymas marszczący powłokę piękną, by nie przemycalo zwodniczych, łatwych prawd, takąż - przy każdym słowie obecna i nad wszystkim czuwająca - ironia, one stały się charakterystycznymi piętnami jego twórczości artystycznej. Nie znajdzie w niej nikt nigdy niczego wykonanego po to, by było piękne, ładne, estetycznie kojące i przyjemne, harmonijne. Każdy z jego utworów był pisany dlatego, że cierpienie rozpierało autora i po to, by się widział dramatu, czy czytelnik powieści, głębiej cierpieć nauczył. W swej sztuce używał wszelkich środków i potęgował wszelkie sposoby, mogące doprowadzić do ujawnienia samego zła tego jak najokropniejszego, a zarazem najwspanialszego dramatu - zwanego rzeczywistością. Ukazywał widzowi istnienie, wstrząsając posadani samego istnienia. Dramaty jego są jak trzęsienie ziemi. Wiedział, że każde przeżywanie istnienia nie docierające do samej głębi i czeluści ludzkiego cierpienia, jest łatwizną i śliskim zganieniem się po powierzchni. Zrywał więc z rzeczywistością tę złudną powłokę, po której milieny się poruszają pewnie siebie i z siebie zawołane, by w cierpieniu dramatu otworzyło się człowiekowi okno na przepaść metafizyczną, nad którą stapa on lekko - do człowieka tym samym nie podobny.

Dramaty Witkiewicza są metafizyczne. Straszliwość świata, który maluje, byłaby nie do zniesienia, gdyby się akcja w świecie realnym odbywała. Postaci jego dramatu stałyby się nierealne i nonstualne, gdyby żyły w świecie codziennym. W dramatach jego niema ludzi z namiętnościami i ideami, lecz idee i namiętności jak upiory wlaśnięty ludźmi bardziej rzeczywistymi, niż ci, którzy ciążą i duszą się wpleceni w realny bieg rzeczy. Jego metafizyczni ludzie są wpleceni w realny bieg rzeczy. Jego metafizyczni ludzie są wpleceni w koło nie losu, lecz nemesis, metafizyki, nią łapani, są prawdziwiej ludźmi, bo łanie ich zagadka bytu i metafizyczne zło, a nie doczesny los. Świat realny w tych dramatach jest tylko osnową, charakterystyczny psychologiczny tylko sposobnością dotarcia do charakterów absolutnych, z bytem, a nie ze światem się rozprawiających.

W tym znaczeniu i dzięki sferze, do której dotarł, Witkiewicz jest dramaturgiem z krwi i kości - z ducha rzeczy. I smutny jest dlatego smutek jego dramatu. Jest to smutek drwiący, ironiczny, smutek na graniczu cynizmu. W organizacji duchowej Witkiewicza nie było miejsca na smutek rzewny, na żal, na romantyzm smutku, na tę sknątę, która jest siostrą nadziei. Za smutkiem jego jak cień, deo- cząc mu na pięty, kroczy zwątpienie. Ale dramaty Witkiewicza nie są zwątpieniem i cynizmem, lecz widowiskiem najbardziej bohaterских, nieubłaganych walk, w których prawda zawsze ginie, a nigdy się nie poddaje. Rci się w nich od trupów jak w dramatach Szekspira - od metafizycznych trupów.

bohaterowie tych dramatów posiadają wszyscy tylko jedną namiętność, namiętność prawdy. Posiadają ją w dawce monsturalnej i genialnej. Poza tym - prawie że - nie posiadają serca /wyśmianego i chłostanego gdy się pojawi/ ale posiadają z prawdą, i sprzeczne, i z nią dziwnie sprzężone - namiętności. Namiętnościami ich i prawdą zarazem są: wiedza, kobieta, władza, potęga, przyszłość ludzkości, oraz /nie dobre, bo brak wiary w nie/ - wyśledzenie zła, fałszu, kłamstwa. Na walce z zakłamaniem, takiej jakiej świat nie widział, polega otyka tych dramatów; na arcyłudzkiem, najgłębszym, bo metafizycznym cierpieniu, ich tragizm. Namiętność jest imperatywem życia tych postaci, tragedia prawdy ich dramatem.

W utworach scenicznych Witkiewicza należy rozróżniać trzy płaszczyzny: zdeformowaną realną, groteskową i metafizyczną. Widz najbardziej naiwny widzi tylko platformę realną, anty-realistycznie przekształconą i dla niego chaotyczną - i nic z dramatu nie rozumie. Dla bystrzejszego obserwatora wysuwa się na pierwszy plan groteska, czy burleska, t.j. monsturalność postaci i języka dramatu i stąd widownia dramatu witkiewiczowego często ryczy śmiechem, ledwo przeczuwając tragedię. Platforma metafizyczna znajduje się w tym dramacie za dwoma przezroczystymi kotarami: za naturalistyczną i burleskową i przez nie sama istota rzeczy prześwieca dla oka i uszu tych, którzy czują dramat. Groteskowość widowiska wynika z potworności monsturalnej duchowej treści, która jest tak straszliwie ponura i przytłaczająca rozgrywająca się męką, że autor mógł ją na scenie ukazać tylko po przesunięciu w arealny, metafizyczny, a zarazem czysto estetyczny wymiar. Widziane poprzez medium pierwszych dwóch zasłon, tym samym złagodzone, nabierają krwawiące duszą postaci dramatu wyglądu groteskowych, prawie że marionetkowych figur i odwołują się do zmysłu humoru widza nie dopuszczając, by groza załamała estetyczne ramy dramatu, by widz nie pogrążył się i sam nie unicestwił w kataklyzmie i jakby ostatecznym sądzie tragedii. Wszystkie dramaty Witkiewicza stają się w ten sposób równocześnie komediami, komediami w sensie najszlachetniejszym, molierowskim, którego komedie tragedią są w swojej istocie, ukrytej za zasłoną komedii.

Witkiewicz w swej twórczości był bliski czasów, które nadeszły. Można by go nazwać ich prorokiem. Zanim zło wylało się z krateru historii i zalało Europę, słyszał jak gotuje się i bulgocze w ludzkich sercach i rejestrował wstrząsy, zwiastujące największe trzęsienie ziemi, w którym zapaść się musiała, na wielu kłamstwach zbudowana cywilizacja i kultura białego człowieka. Zwiastował te czasy tak jak to czyni artysta - ich wizją. Wystarczy przeczytać choćby powieść "Nienasycenie" i, poza wszystkimi innymi, jego ostatni dramat - "Szewcy", by widzieć jak dobrze znał współczesną ludzkość i doskonałe widział do czego już doszła. We wrześniu 1939 roku zginął sam swe życie przecinając w miejscowości kresowej, leżącej na ówczesnej linii demarkacyjnej dwóch rozszalałych niszczących żywiołów hitleryzmu i bolszewizmu. Świadomość zła skupiła się cała w jego niewierzącej duszy, w jego prawym sercu - i powaliła go.

Dzieło artystyczne życiowe Witkiewicza, jego dramat, nie jest "budującym" dziełem. Gardził optymizmem a zbierał się z cierpieniem. Był w zakresie dramatu tym, czym Baudelaire w lirze: dał wzniosłe świadectwo złej, męczącej się istocie człowieka! Strukał prawdy tak gorąco, tak bezwzględnie, że prawda stała się wielkością, swoistą pięknoscią jego dzieła. Stworzył nowy, swój własny, doskonały język artystyczny, bo zmuszał postacie swego dramatu do mówienia bezwzględnej prawdy. Był to człowiek, który nigdy nie skłamał - nawet sam sobie. I stąd ten grymas, ta ironia, będąca jego wielkością i jego samoudręczeniem: byle nigdy nie przemyścić nieprawdy!

Bratał się może z samym diablem, by wydrzeć Bogu prawdę! Ale jeżeli sztuka jego jest demoniczna, to nigdy nie jest zła i przewrotna.

Nie było w nim nawet śladu pychy. Znajdował się w drodze, poprzez cierpienie ku prawdzie, i po tej drodze prowadził każdy jego dramat.

Tylko z wielkiego cierpienia, z dogłębnej świadomości zła, może się odrodzić człowiek w coraz to głębszym człowieczeństwie. Żaden z bohaterów jego dramatu nie jest jednak modelem, wzorem, ideałem, zwycięzcą zła.

Dramat nie jest budującym kazaniem, lecz wytrącaniem człowieka z orbity jego małodusznej wygody, postawieniem go wprost przed obliczem właściwego, metafizycznego - a straszliwego w swym ogromie - zadania ostatecznego. Prawdziwy dramat chłoszcze optymizm, by stać się podwaliną dobroci, próbą męstwa i zapowiedzią lepszego człowieka. Dramat - z gatunku wielkich - niańczy spoczynek, jest zaprzeczeniem sygnatury ducha, który przestał łaknąć prawdy, karmiąc się - niby to dostatecznymi dla wyżycia - zapasami mądrości, zamiast jedynie sycącym, a wieczny głód podsycającym ognieniem bytu. Dramat Witkiewicza jest zaprzeczeniem filisterskiego dostatku, jest dobrowolnym skazaniem ducha na wędrującą po stepach bytu, kresu swego nie znającą bezdomność, przystani ostatecznej szukającą. Dramat Witkiewicza nie dociera do mądrości pewnej siebie, do już uszczęśliwionej dobroci. Naprowadza na bardzo długą, wieczną, skalistą i zawrotną drogę ku prawdzie człowiekowi. Kreszy drogą najboleśniejszego zaprzeczenia, ale jest na właściwej drodze.

W dniu 24.III.b.r. odszedł od nas
ś.p.KAROL LUDWIK KONINSKI

Wieloletnia i ciężka choroba nie zdolała zmóć niespożytych sił duchowych zmarłego pisarza, który mimo cierpień fizycznych zachował nieugiętą postawę moralną, w swojej twórczości stawając się dla całego społeczeństwa polskiego wzorem etycznego hartu wobec zagadnień i objawów życia narodowego i ogólnoludzkiego. Ten wysoki poziom duchowy, połączony z głęboką wiedzą i niezwykle surową dyscypliną wewnętrzną, czynił z niego najwyższy typ pisarza - sumienia narodowego. My, którzy szukaliśmy często u niego rady w chwilach wątpliwości, znajdowaliśmy zawsze braterskie przyjęcie, zrozumienie i ostateczne rozstrzygnięcie naszych wątpliwości. Żegnamy Go szczerym żalem, że nie stanie z nami w szeregu w walce o Nową Polskę.

Literatura a naród.

Problem literatury narodowej, a raczej problem: literatura a naród, problem związków łączących literaturę z jej narodem i wymagań stawianych przez naród twórcom literatury - problem nie nowy, przeciwnie tak dawny jak świadomość krytyczna i refleksja nad dziełem literackim, jego sensem i funkcją społeczną - problem ten i teraz nie stracił aktualności, mimo pozornego milczenia literatury. I zapewne, w wolnej, powojennej Polsce, będzie on jednym z pierwszych na terenie kultury, wobec którego trzeba będzie zająć wyraźną postawę.

Zresztą warto przypomnieć, że ostatnia większa dyskusja literacka Polski międzywojennej tego właśnie problemu dotyczyła. Mamy na myśli głośne w owym gorącym lecie 1939 roku, spory wszczęte artykułem "Czekamy" w "Polsce Zbrojnej".

Do tego zerwanego wątku kultury trzeba będzie po wojnie nawiazać, ale nie poto by dawać takie same na postawione pytania odpowiedzi, jakie dawano przed wojną. Bo choć pytanie będzie brzmieć tak samo, inny będzie mieć sens i inna będzie w nowych warunkach odpowiedź. O tyle oczywiście, o ile te nowe warunki dziś przewidzieć /bez pewnością/, ale z niejakim prawdopodobieństwem/ możemy, to jest o ile nieodgadniona bliska przyszłość polityczna, która dzieli nas od chwili odzyskania wolności, nie zmieni istniejącej dziś koniunktury duchowej.

Jeśli jednak ta koniunktura nie ulegnie zasadniczej zmianie, to trzeba tu podkreślić pewną ogromną różnicę między tą przyszłą niepodległością, a tą którą przypadła nam w udziale po I-szej wojnie światowej. Faktem jest bowiem niewątpliwym, że literatura, która po tej I-szej wojnie zaczęła się krystalizować czy to nad brzegami Skamandra, czy też w ugrupowaniach awangardy, nie miała w gruncie rzeczy żadnego z życiem narodu związku, zasklepiając się całkowicie w kapliczce poszukiwań formalnych, a ideowo zadawalając się - tu: jakimś indywidualistycznym witalizmem /exemplum: Wierzyński/, - tam zaś, romantycznym kultem masy i maszyny, kultem o pozorach uniwersalizmu społecznego, że maskujących istotny, społeczny indywidualizm.

Otóż po tej wojnie będzie inaczej. Ta rzecz zdaje się nie ulegać dziś wątpliwości. Nie wchodząc w przyczyny tego stanu rzeczy, stwierdzić trzeba, że naród polski z wojny i niewoli wyjdzie rozwinięty i pogłębiony, że się zacieśni wspólnota narodowa, a pogłębi świadomość i los jednostki jest nierozłącznie związany z losem narodu, że w gruncie rzeczy te dwa losy się pokrywają. Otóż zjawisko to musi się odbić w literaturze. I tak jak odbija się już dziś, w tej literaturze która narasta wbrew maksymie "inter arma silent musae", tak odbijać się będzie niewątpliwie w tym wszystkim co w pierwszych latach naszej niepodległości powstanie.

Będzie ta literatura obrazować przeżycia czasu wojny i niewoli, będzie szukać sensu tych przeżyć, będzie dociekać jakie były przyczyny prawdziwe i jaka jest celowość tych wszystkich klęsk, ciężarów, cierpień, łez i poświęceń. Literatura ta odrzuci lwią część tradycji 20-lecia międzywojennego i ponad nim przerzuci most do wielkiej literatury romantycznej i poromantycznej i na te same pytania co tamta będzie szukać odpowiedzi. Ale odpowiedzi powinny być odmienne. Nie dlatego, że już raz zostały dane. Że nowa odpowiedź, jeśli ma być potrzebna, jeśli ma być wartością, musi zawsze sięgać głębiej, zawsze nowej, wnikliwszej, lepiej do istoty rzeczy docierającej musi szukać formuły.

A na planie krytycznym, na planie teorii, ta odpowiedź będzie na pierwszy rzut oka niezgodna z odpowiedzią romantyczną. Będzie ona w stosunku do owej oczekiwanej fali literatury o tematyce wyraźnie narodowej raczej pewnym hamulcem, raczej oporem niż aprobata czy zachętą.

Wyjaśni nam tę sprawę rozważanie problemu zgodności czy też pokrywania się losu jednostki z losem narodu. Romantyzm nie uzgadniał, romantyzm kładł nacisk na los narodu. Romantyzm nie uzgadniał

praktycznie, interesów jednostki i zbiorowości /bo zresztą, przy swoich założeniach ideowych, uzgodnić ich nie mógł/ ale kładł akcent na zbiorowość, na poświęcenie, podporządkowanie swoich interesów zbiorowości, w naszym wypadku zbiorowości narodowej. Zresztą, takie właśnie stanowisko jest historycznie łatwe do zrozumienia, jest w pewnej mierze uwarunkowane nie wolą, faktem szalonego indywidualizmu, nieuspołecznienia i niedojrzałości politycznej świadomej części narodu, a przede wszystkim faktem, że świadomość narodowa, jako pewna świadomość powszechna całego narodu, była dopiero do stworzenia. By tą świadomością stworzyć, trzeba było widocznie tak właśnie rozłożyć akcenty jak to uczynił romantyzm.

Ale dziś sytuacja jest całkiem inna. "prawdnie dojrzałość polityczna narodu polskiego wiele jeszcze pozostawia do życzenia, a pewno nawyki indywidualistyczne głęboko wniknęły w nasz narodowy charakter, ale świadomość narodowa jest niewątpliwie powszechna i tak głęboka, że wytrzymuje porównanie z którymkolwiek narodów europejskich.

Dlatego też odpowiedź na pytanie o stosunek literatury do narodu, nie może jako punktu wyjścia używać, tak jak romantyzm, świeżo odkrytej świadomości istnienia narodu i jego pewnej nadrzędności w stosunku do jednostki, ale jeśli jak mówiliśmy, odpowiedź ma być nowa i głębsza - musi się opierać na nowej dziś świadomości tego, czym jest naród.

I tu właśnie zaznaczy się pewne przesunięcie akcentów w stosunku do romantyzmu. Z tym bowiem pogłębieniem wspólnoty narodowej musi koniecznie iść w parze pogłębienie świadomości: czym jest naród. Że więzy krwi, język, tradycja, religia, historia - to wszystko są elementy tworzące naród, ale że nie wszystkie są niezbędne i że nie one naród stanowią. Że istotą narodu jest, w gruncie rzeczy, kultura, ale nie ta kultura istniejąca w postaci obiektywnych wytworów, ale kultura jako pewne tak zewnętrzne jak i wewnętrzne ukształtowanie człowieka, jako obyczaj. Obyczaj - w jaknajszerszym tego słowa znaczeniu, przedewszystkiem pojęty jako obyczaj duchowy, jako wewnętrzny kształt osobowości - jest istotą narodu.

A z tego kapitalnego dla naszych wywodów stwierdzenia, wypływa drugie, niemniej ważne. Oto naród nie istnieje /w najgłębszym, filozoficznym, ściśle metafizycznym słowa "istnieć" znaczeniu/ jako jakaś rzeczywistość odrębna, niezależna, samodzielna w stosunku do jednostki. Naród istnieje w swoich członkach, w tobie i we mnie, jako twój i mój obyczaj. W tej mierze w jakiej te obyczaje konkretnych jednostek w skład narodu wchodzących przejawiają pewne cechy wspólne, w tej mierze istnieje naród. To też naród istnieje ze względu na jednostkę. Nie negujemy tu bynajmniej ani pewnej faktycznej odrębności interesu narodowego w stosunku do interesów jednostkowych, ani też faktycznej nadrzędności tego interesu narodowego, ani też wreszcie istnienia pewnej konkretnej, odmiennej dla każdego narodu misji dziejowej, ale chodzi o to, że są one podporządkowane najwyższemu interesowi jednostki, że służą osobie i jej powołaniu do rozwoju.

Naród jest dla jednostki, służy osobie, a więc jeżeli jednostka podporządkowuje się narodowi i uznaje jego nadrzędność, to robi to, w ostatecznej instancji, w swoim własnym, osobistym, jednostkowym interesie, robi to dlatego, że naród, że obyczaj narodowy jest dla niej, dla jej powołania i rozwoju niezbędny.

To też jeśli całkowite, praktyczne uzgodnienie interesu jednostki z interesem narodu, jest meta do której należy dążyć, ale meta nieosiągalna wobec niedoskonałości natury ludzkiej, to jednak pewne uzgodnienie tych napozór sprzecznych interesów, a zwłaszcza ciągłe ich uzgadnianie jest osiągalne i niezbędne. Właśnie zasadniczym krokiem na tej drodze jest owo w mowie będące przesunięcie akcentu.

Przerzućmy te rozważania, w największym skrócie, na odcinek literatury, a dojdziemy do takiego wniosku: o tym czy dana literatura jest narodowa, czy nie, nie decyduje temat. Jeżeli dzieło literackie o problematyce "narodowej", nie dociera do istotnych spraw ludzkich,

należy do literatury narodowej. I odwrotnie, temat może być na-
 pozór zupełnie ze sprawami narodu niezwiązany, jeśli jednak autor
 stawia prawdziwe problemy ludzkie i szuka ich rozwiązania, jeśli wi-
 dzi to problemy w żywym, konkretnym, a więc narodowym kształcie, /bo
 ostatecznie naród jest konkretnym "sposobem" istnienia ludzkości, a
 obyczaj narodowy konkretną formą obyczaju ludzkiego/, to literatura
 ta będzie narodowa.

A zarazem będzie międzynarodowa, ogólnoludzka. Bo literatura
 wielki naród nie powstaje z jakiejś tendencji kosmopolitycznej,
 zachodzącej odrębności narodowej. Powstaje poprzez naród. Szekspir
 i Dante należą do całego świata, dlatego, że należą przedewszystkim
 do swoich narodów, że ściśle czerpią obficie z historii swych narodów,
 to po to by w te narodowe kształty wcielone, pobierać pewne niezmi-
 enne, ogólnoludzkie problemy.

Więc ostateczne wiązanie literatury z narodem, nie mieści się
 w sferze konkretnego dzieła literackiego, lecz głębiej w osobowości
 twórcy. Jeśli twórca będzie naprawdę "zakorzeniony" w swym narodzie
 i zrosnięty z jego sprawami /jako ze swoimi sprawami/ to dzieło jego
 będzie narodowe - i ogólnoludzkie zarazem, o czymkolwiek by pisał.
 Jeśli zaś ten warunek nie będzie spełniony, to nie pomoże temat, ani
 problem, ani forma. Stworzone dzieło nie tylko nie będzie literaturą
 narodową, ale wogóle nie będzie literaturą, bo nie będzie spełniać
 zasadniczej funkcji społecznej literatury.

+ +
 +

Wież Złota Woda jest pod Łagowem,
 jaseczkurki szumią, gdy poschną dęby,
 i koń posłucha o liś podkowę,
 w pień się nie mieści w szrankach poręby,
 chata jaśniejsza od chmur na rzece
 mówi co wieczór: usnij, śdlecę !

Lot cię oduczy pragnąć za wiele
 bo da ci wszystko /spij, odlatuję !/:
 górę pod słońcem cis przy kościele,
 kuznię u krowka, nikt w niej nie kuje,
 pękło kowadło, pęd z lilij trójcy
 przebił je niby grób samobójcy.

7
BALLADA O PIECHURZE.

SWIT.

Marsz. Marsz.

Nieprzytomnie mijamy obojętne sady,
chałupy w czarnej zieleni zdziwiałych bżów.
Koguty po trzykroć pieją, wietrząc pożar i zdradę.
Gromada grusz nad drogą wdziora się na dno snu
jak wiatraki, których skrzydła dech równy naciska
i skrzypią, cionń ogromny kładąc na ściorniska.

Nad nami chmura oddechów. Świecą sinawo plamy,
odblask trującym jadem hołm powloka. Gną się konary
bark

- tornistor - a w nim buława i para skrzydeł
spętanych,
jak ty św. Krzysztofie dźwigamy natchniony garb !
Wonie nagrzaną skórę, rzemionie stroczone i koco,
do warg spragnionych pot spływa
- w gąbco podany ocet.

Chwała rozumnej męce ! Rodzinne o świecie miasto
mijane marszem pospiesznym. I nie wychyla się nikt,
w szybach podwodny spokój, powiew kołysze
jak piastun,
o ramię karabin oparty, dłoń czarnego anioła
- popycha ku polom bitw.
Śnijcie ! Powoli w szczelinie ulic przepada rytm
i pochód
i tylko na gzymsie gołębie wołają o ziarnka grochu.

Posagi na placach zawieszko, wichor przobiega rwąc,
unoszą burzę polerzyn, fałdy marmuru i bronz.
Czoła w porannym szronie. Błogosław wizjo historii
W kręgu milczących wież ! Na blachach puszysta śniedź,
czasu zielony kozuch. W ten świat kamienny nas porwij,
nim oddech nasz się roztopi w żubinów sennym morsu.

Rozstapia się fale żubinów, ostygłe światło gromniczne,
nad nami jak przyszłość grozi gradowa chmura,
w drutach dmie wiatr wo floty, deszczu nadchodzą biczo,
i nagle rysują się baszty, pęknięcia w blankach i
murach.

I kurz nam włosy pudruje, kurz z niebieskiego Jorycha.
Człapią konie. Deszcz, deszcz poranny nadbiega cicho.

Deszcz. Ściśkasz powoli po twarzach garścią zbytanych kóz.
Czwórka za czwórką się chyli w bezmiar splecanych dróg,
jednak rytm nas kołysze, pieśń i rynsztunku chrzest,
jeszcze raz miłość ojczysty przemierza nocą. ~~statem noc.~~

KUSZENIE.

I.

Czarny Anioł:

Wydany szyderstwu żywiołów, raco próbujesz oporu?
zbudzone szczeka żelazo i grozi poomacku,
samotny się nie ostoisz, gwiazdo wydartą z torów.
Słuchaj, o świecie nieczystym bojowe powraca ptactwo,
ramiona w las się rozrosły i nie buntuje się nikt,
choć losy jego zależą od retort, ksiąg i cyfr,

Ciałami porusza przypływ. Piersią o piasek biją.
Z wieńcem blaszanych laurów ku nim podbiegasz
chwają !

Tłumy, tłumy się kładą i pokolenie przemija
jak garść oklasków witając - błyski wystrzałów.
Dumni ze swoich pęt, posłuchaj niewolników,
pochwyć ogniwo łańcucha i ramię uparte przykuj !

Na twarzach grymas kariatyd, stał się z mięśniami
splata,
wyżej i wyżej dźwigają gałęzie rusztowaniom,
tu wierność tylko wystarczy, myśl już odpadła
zotlała
i tak na szczycie lodowym - ja szumię - Czarny Anioł.
Usta im śpiewem broczą, torsy rytmicznie się
chylą
- pod niebem wzgardliwym wznosimy -
Stolicę Pychy - Babilon !

Patrz. Niebom zawładnęła moja żelazna jazda.
Patrz. Choć jedni butwieją w wrzosach, ilu już
nowych nadbiegło,
płoną słowiańskie strzochy, depczemy glinianą gniazda...
Powierz się moim skrzydłom, na mur cię złożę cegłą!
Stąkam po bruku hoźmów i w przyszłość patrzę jak
w okno,
ucażuj, stopę prawą. Oddaj mi pokłon.

Fiechur :

Trzepocze mi w piersiach ...

Czarny Anioł :

Wiem, krew tłoczona w rurkach kruchych ...

Fiechur :

Nie, to sztandar łopocze zwinięty !
Zostanę tej ziemi wiorny.
Gną się kolana mocarzy i rdza miecze szczerbi.
Na gruzach ciemności jak płomień
będzie pobiewał zatknięty !

Anioł Czerwony :

Rumaki spienione smagam, jam głosem samozwańców.
W kamienne żronico wódzów kurzawę rudą miotam
i kiedy koń przysiadła wśród lawot strzaskanych
na szańcu,
cień mój jak zmoreę zciera ją z dumnie wzniesionych
czoł.
Grady spadają na bęben i ławą rusza piechota,
z moim przeklętym imieniem - stacza się w dół.

Kim jestem ? Pamiętasz w stronę Warennos. Nocą.
Milczący szpaler topól. Gnamy na oślep.
Noc jest o szyby oparta. Światła zgaszone. Karoca.
I ja na koźle.
Słyszałem, o piach się darła gałąź zatknięta
za szprychę,
Gdy dłoń obnażona z pierścieniami sygnał podała
- "w konie" !
Skórzaną rękawicą szyderczy stłumiłem chichot
- ja jeden wiedziałem gdzie dudnia
- ku nam idąco pogonie.

Kim jestem ?
Dymy się sączą smugami, gęstnieją w trującą mgłę.
Po nocy, salwa za salwą, gadają forty,
a niebom mknie jeźdźców czterech. Poznajesz moją
eskortę ?
Wołają wzniesione kopyta - Verdun. Verdun.
Pamiętasz wschód.
Ztrząskiem wywalam okno gdzie obraduje sztab.
Wśród zbladłych feldmarszałków niedbałą stopą
roztrącam arkusze map.
Ja, Anioł w zawieszonym szynelu
rzuciłem ogień płucem !
Odetchnął tkum.
I żamąłem się z nimi chlebem i rewolucją !
Słuchaj jak dęby się trwożą, na piersiach im szumi bluszc.
Ziarno rozsiewam wichury i zbieram żniwo burz !
Ja jestem wieczny mściciel. W blasku pożarów
jęk konających, kwik koni - oto muzyka,
u stóp mych oreżna rzeka w świat się wylowa
jak w parów.
Należysz do mnie, boś lufę o skraje opiorał barykad !

Piechur .

Poznaję cię.
Głowy zwalone w kurzu, ślina się sączy,
włosy na czoło nawisło, strąki zlepiłone krwią,
a w szparze przymkniętych oczu
próchna wielkości się tła.
Szklista dogasa iskra.

'Zgadni' co noszę w ładownicy,
na czym spoczęła ręka ?

Anioł Czorwony :

Na pociskach !

Piochur :

Nie. Na kłosach pszenicznych.
Oto przepadasz w dymach
po ziemi się tłukących. Ja sięgam dalej.
Widzę ocean zboż. Klonią się kłosa zroszone,
łany się chylą boźmiernie ...
Odejdź ! Tej ziemi zostanę wierny.

3.

Ja jestem Anioł Polny, choć ze mną !
I poszli dotrzymał mu kroku.
W wieczorów szli niezliczoną, w zachodów
Jak fala miętko pod stopy kładła się ziemia, ^{gorącz i ciemność}
I skrzydłem co najcięższym Anioł go ocieniał.
Ileż to razy w walce umierał Piochur,
Anioł schylony klęczał,
krwi sercu brakowało jak piersiom oddechu,
modlił się Anioł szlochając, a w łzach kamała się.

I szli dalej.

Ileż to zmagani zwycięskich, ile dzielili klęsk ?
Aż raz logli biwakiem. Z manierok zaczęto pić.
I dwili towarzysze przy ogniu trzeszczącym
ze zwierzeń jego szydzili, że o Aniele śni
I zawstydził się Piochur i głęboko zadumał ...
Nie wiedział, że właśnie w tej chwili
Anioł mu w piersi umarł.

I myślał Piochur - " Czyżbym powierzył się brzozie ?"
Dobył bagnotu - inicjał i serce wyrył na korze.

Była cisza nieziemska. Była cisza muzyczna.
I jeden liść się osunął, o wargi dzwoniąc,
jak pociągnięcie smyczka.



ŚMIERĆ PIECHURA.

Rzęsy ciężko od gwiazd sonny powoli otwiorak
i: dziwił się Piechur ogromnie, że już umiera.

Miłością wrośnięci w glebę, a ramionami w błękit,
śpiewamy, w burzę igliwia biorąc oddech przestworzy.
Krew nasza wonna i łopka pod korą złotawą tętni,
już może jutro śmierć nas przy tobie w trawach ułoży.
Jak topór księżyc grozi i drwali zuchwała strofa.
Z hardym czekamy czołem, bo drzewo się nie cofa.

W nas się two życie rozpina, Drogi two nam są
odkryte.
Matka cię jeszcze osłania ciepłom własnego ciała.
Mapę nieznaną krain na dłoni masz wyrytą,
wydzierasz się na polbojo, poza zdeptany próg.
W galopie ciskasz okrzyki. Pod chmurą wznosisz
szaleń
I krwi się każda kropelka junactwem świeci jak
głóg.

Lata. Lata padają. Bieg dni pospieszny znasz.
Poranne dżdżyczo cichną. Wstają burzliwe zachody.
Z jednakim zdumieniem oglądasz odbitą twarz
między obłokiem i trzciną, w zmarszczkach ciokającej
wody.

O pochwyczone wargi ! Okruch słodyczny.
Miłości ! Nadmiar cierpienia.
A rok każdy godzinę jak strzały w kołeczanie liczy.

I każda trafia.

Matka kołysze. Noc pojaśniała. Przedświt.
Siwo od mgły.
Przytul się bliżej, nie płacz, zapomnij, przoesnij
- w glinianą podłogę stuka kołobki biegun.
I któż usłyszy w nim
młotka niedbały rytm
i milczenie wiecznego noclegu ?

Oto jest tajemnica. Gdy krzyk w kołysce rozkwita,
umieć z czołem pogodnym w cudzie narodzin
ukrytą śmierć nową powitać.
Gdy warci zaciśnięte chciwość rozchyła korzeni,
nie giniesz, z prochu powstały.
Ku nowym światom będziecie odchodzić
z życia jak ze snu obudzeni.

Zdyszane lata odpadły. Wieków spletrzony bieg.
Cień twój w cieniach gałęzi będzie się kłesać,
pod karkiem zaszaleńci wiorów żywiczna garść
i cisza jak zaspana nawisa. Chłód i śnieg.

Nie. Nieprawda ! Życie nowe wytryska
na starej porębie z zapadłych mogił,
Gałąź się świeża płucze w strumieniach wiatru,
i w tych zielonych listkach
znaków się prawdy dopatruj !

Czekamy spokojnie - niech się dopełnią wyroki.
W rześmistym świągocio ptaków pień się osuwa
Trzeszcza konary. W piach i torf zaryci gałęziami
po trzykroć wzywamy cię ziomio - módl się za nami !

Słyszysz !
Już z pnia, z karozowiska
soki pulsują i liść pierwszy
w zachodzie zaświeci jak iskra.
I cały las wybucha walecznością, szumem i śpiewem.
Bądź pozdrowiony bracie
- i tyś jest drzewem !

Piochur powoli usypiał z twarzą otwartą ku niebu,
a nad drzewami zawisł gwiazd spadający niewód.

IV.

BASIN O PIECHURZE.

Jeszcze fałdy dłonią zwiędłą przyglądź...
Do kolan rękawy się tula, rękawy puste,
błyska w zadymionym wieczorze włos siwy matko, igła
nawleka żnę samotną. Synoczku jak cię ustrzec?
Polano pod blachą zapiszczy. Lampę zapali się wnot.
Zastygasz, palec zniebnięte grzejąc o kotki grzbiot.

Ktoś przecież zginąć musiał. Ale dlaczego ty ?
Wiatr o szybę zabrzęknął, ktoś się za oknem rozośmiał.
Wiatr i harmonia skuczy pod wieczór na przedmiesciach
jak stęsknione za izbą psy.
Tak trudno pojąć, uwierzyć, gdy zachód się chmurzy,
to jak wczoraj śpiewali przed nocą
w ciemność odchodzący piechurzy.

Bajki chcesz synku? Baśń ci prawdziwą opowiem
o tych co już odeszli, o bracie starszym...
Cień helmu na czoły opadł snem cięższym od okowiu
i śpi jesienią okryty, rdzą poplamionym płaszczem.
Milczy, czeka głosu Anioła,
który go z śmierci jak z klęczek podniesie
i w życie nowe wywoła.

- 13 -

Wszyscy ku tobie zdamy nasza niebieska ojczyznę !
Więc idziesz przez pajęczynę siwe spętane badyle,
srebrzysty doszcz z obłoku żółtego bryznął,
krople w ścierniska spadając przesyły cię na wylot.
A wiatr powoli odwraca za krajobrazem krajobraz,
gałązce dzikiego wina. co mur jak troska oplata,
szepczesz - bądź zdrowa.

Stopę co grzęźnie w błękanie unosisz z trudem,
w grzywach pastuszych ogni o słowa pożegnania...
Spod dachów dziurawej jesieni, ze snu dobyty
maruder
w niebo zachodzisz powoli, gdzie gwiazda
samotna się skania.
Jeszcze i w twoją stronę wiatr śpiewne porywa
okrzyki,
słyszysz, zanurzony w wieczorze żuraw
studzienny skrzypt.

Słyszysz ?
Dziobami gasząc mlecz stada perliczek
się zkoszcza
i szklana kula przedrzoźnia
jesień w ogrodzie proboszcza.
Twarz matki w ostatku światła zatapia okno.
Na kolanach kurtę palce zziębnięte mną,
jak w mundur na piersiach wplatane,
próżno wołają - nie odchodź !
Dla niego już ziemia liściom,
liściom zgryzionym rdzą.

Stoły i płyty grobowe jednako wiatr z liści
wymiatą.
Nim się przygarnąć zdążymy,
zmuszasz nas chwilo porzucić !
Już się przedmieścia ocknęły pękami latarni.
Syneczku, dalej nie wiem...
Tak zadumany trwasz...
Ten wiatr co w nas zamieszkał,
co nam rozsadza płuca
tęsknotą nieuciszoną
- popycha, wołając -
marsz, marsz...

Dziadzio poruszył się niespokojnie na krześle. Od kuchni dochodził głos Elżbiety i stuk tłuczonej w młódcierzu zeschniętej bułki. Potem to wszystko mieszało się z hałasem otwieranych drzwi, przytupowaniem i jakimiś nowymi dźwiękami, które narazie trudno było rozpoznać. Za oknami rosła noc, śnieżna, skupiona w sobie i gęsta, że kiedy uchylić zasłony zaciemnienia docierało się odrazu do dna białości i ginęło się o parę kroków od domu. Padający śnieg niszczył głębię obrazu, otulał, stwarzał nowy świat, nawierzchnię życia.

Teraz dziadzio złożył starannie okulary na książkę i powędrował do sąsiedniego pokoju. Musiała upłynąć dobra chwila nim oczy przyzwyczaiły się do ciemności. Na fotelu podsuniętym pod okno klęczał Piotruś, piętками podpierając brodę. Kiedy starzec oparł go ramieniem, podniósł głowę i cicho dziecięco westchnienie dało znać, że przerwano mu marzenie wybiegające poza kółko parą z ust uwolnionej szyby.

- Bialo, Piotrusiu! - dziadek przyglądał mu nastroszone włosy. W tej chwili wydało mu się, że popełnił grzech zostawiając to dziecko w pokoju, sam porwany zajmującą historią z dzikiego zachodu. Syn przyjdzie napewno na kilka minut przed wieczorną wigilią, żona jego robi z czegoś coś, aby przynajmniej w tej wieczorzy powrócić do lat z przed wojny. Wszyscy mają huk spraw do załatwienia, on sam już nakrył stoł, ścieląc cienko siano pod obrusom, pozostawiając łyżki i widelce, na talerzyku przykrytym serwetką umieszczał onkalki. Nikt nie ma czasu, aby zajmować się dzieckiem. Gdyby przynajmniej Piotruś dopominał się o towarzystwo, o zabawę, ale przepadając w pokoju tym bardziej dawał zapomnieć o sobie. Dziadzio rozumiał to dobrze i oskarżał się jeszcze goręcej, przytulając go do siebie.

- Dziadziu, a kiedy tatuś przyjdzie? - jedna z drobnych rąk zatrzymała się na rękawie dziadka.

- Zaraz, kotusiu, za chwilę - dziadek usiadł i posadził malca na kolanach - tatuś przyjdzie, błysnie pierwszą gwiazdką na niebie będziemy śpiewali kolędy. A może już zapomnieliście śpiewać kolędy? - wasy

15
dziadzia nastroszyły się w udanej srogości.

Piotruś zaczął cionkim głosikiem :

- W żłobie leży, któż pobieży....

Zaraz wpadł w melodię dziadzio, basem podtrzymał nieśmiało ton dziecka. Kiedy skończyli, Piotruś wsparł głowę o ramię dziadka który go huśtał do taktu na kolanie.

- Ale to będzie ładniej, jak będzie choinka, prawda dziadziu ?

- Zapalimy świeczki...

- Prawda, świeczki, - klasnął w rączki - zapomniałem. Ale czy tatuś nie zapomni o świeczkach.

- Gdzieżby mógł zapomnieć. Obiecał ci przynieść drzewko, to ma się rozumieć dostaniesz i świeczki.

- Co jeszcze dziadziu ? - Piotruś zarzucił ręce na szyję dziadka - co jeszcze, powiedz...

Dziadek mówiąc, począł stukać palcem w czoło wnuka :

- Będą wisiały kolorowe bańki, będzie aniołek...

- Aniołek ! Z waty ?

- Pownie, że z waty, twój aniołek stróż jest przy tobie, nie można go wieszać na drzewku.

- A diabeł, dziadziu ?

- Powiesimy i diabła, pamiętasz z czerwonej bibuły...

- Pamiętam, niema jednego rożka, bo pobódk się z kozą. Tak mi mówiłeś ...

- Tak, tak. Diabeł, to straszny zabijaka, z wszystkimi się bije. Trzeba go będzie umieścić zdala od aniołka. Potem damy włosy anielski

Małemu coraz silniej biło serce z zachwyty. Dziadek czuł, że wystąpiły mu wypieki na policzkach, że teraz największym jego pragnieniem jest ta choinka, wycięta gdzieś w lesie, zwiastun dzieciennego szczęścia.

I kiedy puszczał go z ramion, bo Elżbieta z kuchni wołała syna, parę niemieckich łez zatrzymało się przy wąsach. Szybko starł je. - To jest właściwie jedyna radosna rzecz, którą możemy dać jeszcze dzieciom - myślał - w tych czasach smutku i niepokoju. To co się dzieje

wokół doznawał tym tragiczniej, że będąc dobrym Polakiem, ~~wychował~~ się i pracował pod Austryjaczami, których uważał za Niemców i nawskróś porządnych ludzi. Dziś oni, czy ich potomkowie zabijali go, z dnia na dzień, gdy odczytywał nieznaczące nekrologi pod kościołami.

Piotruś wracał balansując rękami i buchnął mu prosto w objęcia. Zaraz zaczął mu wpychać w usta rodzynok.

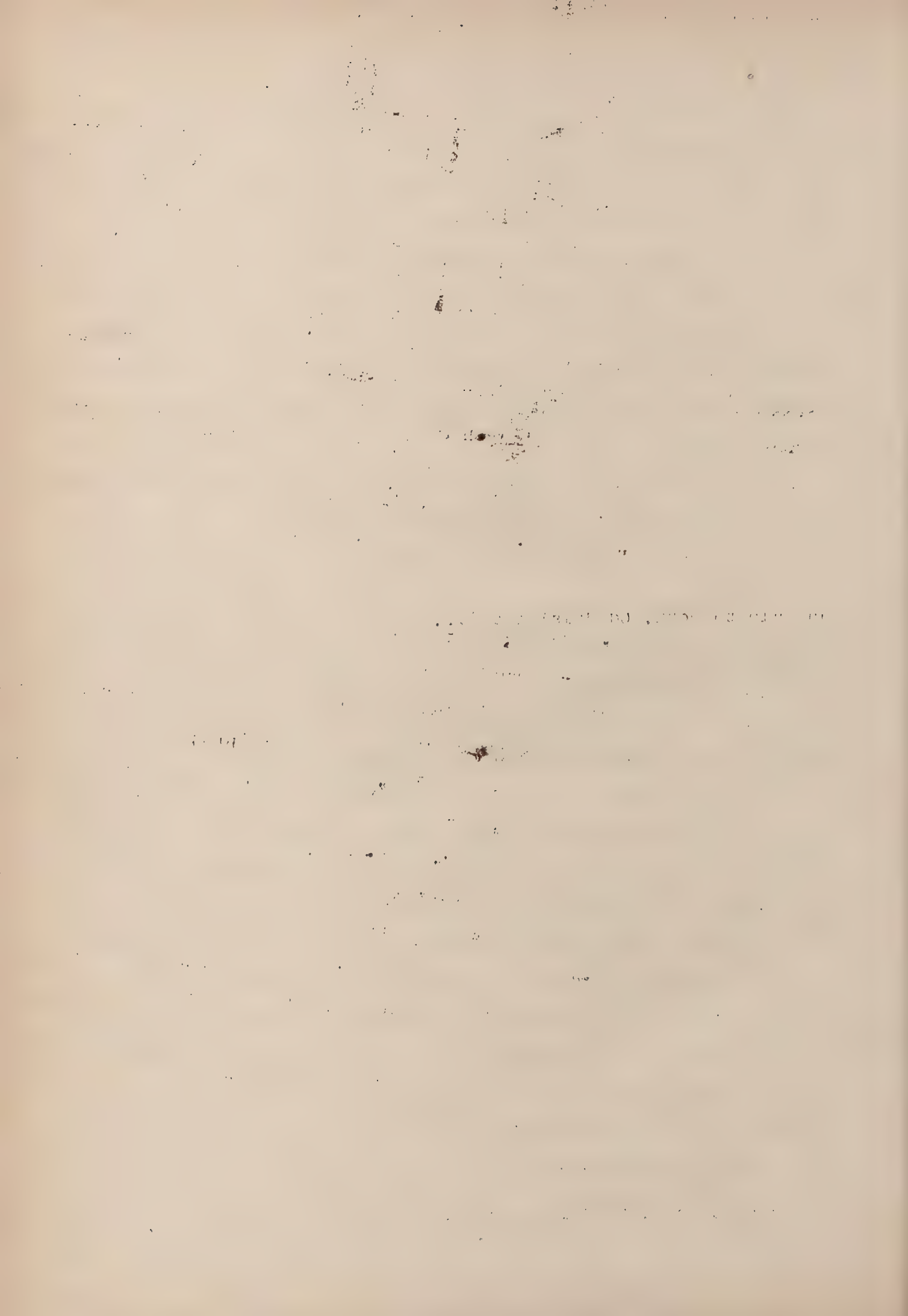
Dziadek pożarł go, mlaskając głośno, i udawał, że mu ogromnie smakuje. Malec cieszył się, podskakując między rozstawionymi nogami starca. Przez ~~szparę uchylonych~~ drzwi wąskie pasmo światła przecinało pokój naukoś.

- I co dalej, dziadziu? - sadowił się bez zaproszenia na kolano - włosy anielekie i Misia damy na choinkę.

Porombski oglądał się ostatni raz i wpadł do bramy. Kilkoma skokami znalazł się na drugim piętrze. Nerwowo dzwonił. Otworzyła Elżbieta i powróciła zaraz do kuchni. Rozbierał się, rzucając płaszcz, kapelusz i rękawiczki na stół w przedpokoju. Tutaj dopiero mógł się zastanowić nad całą sprawą. Tak, Wysocki popełnił błąd, który ich zgubił. Właściwie ~~ta~~ już ~~ja~~ ich trapiło. Jemu udało się ująć jakimś ~~z~~ trafem. Był przekonany, że Wysocki, Wyszomirski i Bajorek ~~wzięci~~. Pięknie byliby się bronić. Ale oni nie kupi. Czekali aż wyjdą, a żeby każdego ująć osobno. Nie popełniają tych błędów co w Warszawie. Wyciągnął z ~~pod~~ kamizelki gazetkę, jeszcze mokrą od druku. Nie zdążył jej nigdzie ~~zniszczyć~~, zajęty jedynie myślą o kluczeniu. Po drodze musiał rzucić za parkan drzewko, które kupił dla Piotrusia, bo tym domaskowałby się na ulicach, lecz o namacalnym dowodzie swojej pracy nie pomyślał. Teraz z żalem skierował się do kuchni i nie zwracając uwagi na żonę, wsunął gazetkę pod blachę. Papier skręcił się nagle i jasno zapłonął.

- Znowuś tam był? - Elżbieta pytała pełna leku.

- Musiałem, moja droga, ostatni raz, trzeba było pokazać młodemu jak się to robi. Od dzisiaj oni...



- Wzruszyła ramionami. Nie chciała mu powiedzieć, że przez tą swoją robotę niema czasu na nic, a ta nędzna biurowa pensja wystarcza, jak sam wie na kilo masła. To i tak nie przemówiłoby mu do przekonania, a za chwilę wilia, Bóg się rodzi, opłatek gładzi nierówności pomiędzy ludźmi.

- Idź, umyj się, będziemy siadać do wili.

Kiedy pochylony nad miednicą, zgarniał dłonią mydło z twarzy zapytała:

- A gdzie choinka dla Piotra ?

Zatrzymał się z rękami w wodzie. Najchętniej wyjawiłby jej całą prawdę. Nigdy nie było między nimi żadnych niedomówień i tajemnic. Życie ich proste i bez komplikacji opierało się na szczerości i wysiłku wzajemnego zrozumienia. Nieraz opowiadał jej o swych stanach pełnych ambicji męskich, niowyzyciu, które mężczyzna tak szczelnie przechowuje tylko dla siebie. Opowiedziałby jej o Wysockim, tym młodym zapaleńcze dla którego sprawa była jedynym motorem życia, wśród niepokoju i pogardy, jak stał przy maszynie i zielonymi oczami zmuszał żelazne cielsko do wysiłku, jak mówił, że śmierć jest wtedy tragiczna, jeśli nie stoi w obliczu zmartwychwstania. Uśmiełaby się z Bajorka z ruchami uspionego niedźwiedzia, jak składał numer i stale popełniał ten sam błąd, pisząc żołnierz przez ż na końcu. I Wyszomirski i ten, którego nazwiska nie znał, nasyłany zgóry, z ułożonym numerem, trochę zezowaty. Teraz jednak nie może nic powiedzieć. Zamąciłby cały spokój zapadającego wieczoru.

Elżbieta umilkła ze sprzętami i Porębski usłyszał z drugiego pokoju tubalny głos dziadka i dyszkant syna.

- Kaczka pstra, dziadki ma,
siedzi sobie na kamieniu,
treyma dudki na ramieniu,
kwa, kwa... i wybuch śmiechu Piotra.

Naraz z całym swoim ciężarem tego wieczoru, zdał się być obcym tym ścianom i ludziom. Zanurzył głowę w miednicę, i odskoczył prychnając prawie wesoło.

- Piotruś będzie miał choinkę. Tylko po wigili! Niespodzianka, rozumiesz - kypnął skiem spod szorstkiego ręcznika. Miał zamiar po kolacji wyskoczyć po porzucony chojak.

Elżbieta zbyt była zajęta kończaniem ostatnich przygotowań, ażeby się temu dziwić. Powiedziała tylko :

- tak Piotruś się cieszył na drzewko.

- Będzie jo miał, zapewniam cię - naciągnął marynarkę i przygładziwszy włosy przed lustrem nad maszyną do szycia, wszedł do pokoju. Piotruś poznał kroki, zostawił dziadka i pędem znalazł się przy ojcu. Pierwsze słowa, gdy zawisnął mu na szyji dopytywały się o obiecane drzewko.

- Panie Piotrze - powiedział stawiając go na ziemi - nie wiem, czy coś zbroiłeś, czy byłeś niogrzeczny, aniołek nie chciał ci dać choinki.

Chłopiec zaniemówił. Oczy wzniesione ku ojcu zastygły w przerażeniu. A potem groza przemieniła się w zawód, usta skrzywiły się do płaczu. Porembski nie wytrzymał dłużej tego wzroku. Pochylił głowę. Usiekłby teraz i poprzez setki śledzących go ajentów przebrnąłby śnieg i wrócił z drzewkiem, wręczył go małemu.

Ale Elżbieta zaglądała przez drzwi, już bez fartucha,

- Gdzież jest dziadek, kolacja gotowa.

Piotruś odwrócił się i nim Porembski spostrzegł, wybuchnął donosnym płaczem w drugim pokoju. Podeszedł do okna. Nieznacznie odgiął papier. Śnieg łączył niebo z ziemią. Gdzieś sanki rozsypały ciszę drobnym dzwonieniem. Jeszcze nigdy nie odczuł tak głęboko niewywiązania się z zadania. Wiedział, że gdyby tego wieczoru nie było drzewka, straciłby na zawsze syna. Zaufanie podważyłaby nieufność, Piotruś będzie miał drzewko. Napewno. Pobiegnie prosto ulicą, przy której mieszka, potem trzecią przecznica, wie dobrze gdzie rzucił. Znajdzie dziurę w parkanie i spowrotem. Uśmiechnął się przylogając twarzą do szyby. Ale sprawi mu niespodziankę. Oddechem wypalił krążek na zwróconej szybie.

... i w tym samym wieczoru, w świetle...

niemu. Zaufanie. Właśnie traci dziś zaufanie do siebie i do ojciec, kiedy mu oznajmił, że pracuje w organizacji, uściskał go, nie powiedział nic, tylko wziął go za ramię, szedł kilka kroków, marszczył brwi, patrzył w oczy, a wreszcie rozczulony ucałował go siaroczyście w policzki. Powoli uświadamiał sobie, że będzie musiał odejść od nich, jest już poszukiwany. Widzieli go. Dziś stoi na progu śmierci. Tu pozostać nie może. Musi uciekać, uciekać, jeśli chce do nich kiedykolwiek powrócić. Ten próg jest bardzo szeroki i wąski zarazem. Doznawał, że zaczyna się w nim obawa przed nadejściem ich, ból lęku przed wkroczeniem w obręb jego dni. Do nikogo nie miał żalu, może do siebie, zato, że jest sam w najcięższej chwili i że musi pozostać już sam. Śnieg pada uroczyście, obrócił się obrus biały, Elżbieta wnosi właśnie talerze gorącego barszczu. Wychodzi dziadek, przyciskając Piotra i patrzy zdziwiony na niego. Siadają, przedtem życzą sobie łepszego przyszłego roku. Mówi z okrucieństwem opłątka, szepcze żartobliwie Piotra i dostrzega, że opłątka nie może rozpoznać na obrusie. Jedząc przypomina mu się Wysocki, siedzi pewnie w grubej celi i myśli o nim. Nad ostatnią łyżką barszczu długo zastanawia się i wreszcie połyka, półświadomie dobuszczając myśl, że spożywa ją za niego, przy stole zaskarym, przy wigili.

Dziadek jak może zabawia Piotra, który ledwie brodą sięga stołu. Każde nowe danie przyjmuje radosnymi okrzykami jako arcydzieło kuchni Elżbiety i najlepsze kawałki wrywa zasmuconemu. Porombski widzi jednak dobrze wzrok swego ojca, który go niemo karci za to zapomnienie. Strasznie boli go przepaść jaka się między nimi naraz utworzyła. - Oni nigdy nie zrozumia, że nie potrafiłbym zapomnieć o dziecku, - zdanie myślowe powtarza się ustawicznie, staje się głównym przeżyciem wieczoru, przepadają szpicie niemiecocy, noc zimowa, nieprzyjająca i odblask latarni, w których zaostrza się kontur czło-wieka.

Zaczyna opowiadać o rzeczach obojętnych, ale stale powraca do choinki za parkanem, o której Wysocki powiedział " - piękną wiechę kupiłaś panie Porombski - ". Pali jednego papierosa za drugim, aż zo-

na zwraca mu uwagę, że pokój tonie w dymie. Nie wie czy on też wyznawą obcość tego wieczoru, co wkradła się we wigilijny rastrój. Żadne nie zaczyna śpiewać, a ostatek łazanek z makiem stygnie pośrodku stołu jakoby już nikt nie miał ochoty jeść. Mówi wreszcie do syna, oddalając niepokój :

- Czekasz Piotrze na pierwszą gwiazdkę ?

Odpowiada dziadek poprawiając włosy malcowi :

- Czekał, czekał, ale dzisiaj niebo chmurne, niema gwiazd.

- Może jeszcze błysnie - chce zapalić papierosa, ale przypomina sobie upomnienie Elżbiety. Kiwa palcem na Piotra.

- Chodźno tu mały ! Coś ci powiem ! - Piotruś zwolna opuszcza się z krzesła i poważnie podchodzi do ojca. Poremski opiera się na nodze i szepce :

- Dostaniesz drzewko, wiesz, jeszcze dzisiaj.

Piotruś uśmiecha się niedowierzająco, łapie go za kłapę marynarki

- Ja ci przyrzekam, daj rękę - drobna dłoń chłopca ginie w jego ręce. Potem podchodzą obydwaj pod okno. Elżbieta zbiera ze stołu, dziadek przewraca kartki powieści z dzikiego zachodu. Inna niż zazwyczaj była dzisiaj wigilia.

Śnieg opada bez przerwy. Twarze ojca i syna, zetknięte policzkami szukają gwiazdy. Błyszczą jedynie ulica, a w ukosach światła śnieg staje się materialnym ułamkiem niebios, płynącym na ziemię. Tylko niebo w perspektywie ulicy jaśnieje, niebieszczeje. Pomracają. Dziadek czyta, przekrzywił okulary. Piotruś biegnie podzielić się z nim radością. Elżbieta siedzi w kącie, tyłem, wygląda, jakby płakała. Poremski poznał, że dzisiejsze popołudnie oddaliło go od tych najbliższych mu osób o życie. Czuje się ze swoją tajemnicą jak przybysz, który swą obecnością zamąca rodzinny zwyczaj. I bardziej jeszcze upewnia się o samotności. A przecież o wiele byłoby mu lżej, gdyby się o wszystkim dowiedzieli.

Dzwonek łamie ciszę. Poremski ruchem ręki zatrzymuje żonę i łączy przez kuchnię do przedpokoju. Zamyka za sobą drzwi. Na progu widzi dwóch mundurowych Niemców.

- Herr Porembski ist da ?

Nie może odpowiedzieć. Zza nich wysuwa się kłasy ozłowieczek, trzyma jego choinkę. Pozna je po zakrzywionym szczycie. Sięga po nią, a ozłowieczek dziwnie łatwo pozwala ją sobie wyrwać.

- To jest pańskie drzewko - pyta, strzelając oczami i kiwa głową do Niemców. - Tak, to ten - słyszy jak mówi i wchodzi do środka.

- Proszę panów, pozwólcie - wstyd, ale głos mu się rzawi - ja zaniosę to drzewko synkowi i wrócę, zaraz.

Cywil tłumaczy, jeden z Niemców z czerwonym, zmarszczonym nosem, przykłada rękę do uszu, zgadza się, byle krótko trwało.

Porembski wkracza z choinką do pokoju. Elżbieta i dziadek podnoszą ze zdumieniem głowy. Piotruś stoi na palcach pod oknem, odwraca się i spostrzegawszy ojca biegnie zachwycony z wyciągniętymi rączkami.

- Tatusiu, tatusiu, właśnie błysnęła pierwsza gwiazdka.

